

JAK IM PRZEBACZYĆ? c.d.

Poszukiwania uprowadzonych osadników

W sobotę 23 września Białorusini z obuchowskiego komitetu wywlekli osadników więzionych w piwnicy Totocia, powiązali ich sznurami i przed nadejściem zmierzchu popędzili w stronę szosy skidelskiej. Pochód konwojowanych osadników musiało widzieć wielu mieszkańców wioski, jednak gdy ich żony przybyły do Obuchowa tego samego wieczora, niczego o mężach dowiedzieć się nie zdołały. Szybko zapadły ponure ciemności, spadł drobny deszcz, a ludzie pozamykali się w swoich domach. Kobiety zrozumiały, że dalsze krążenie po wiosce białoruskiej jest bezcelowe i niebezpieczne. Zdecydowały się powrócić do Budowli, a poszukiwanie mężów rozpocząć od jutra.

Nazajutrz Jagielska, Janiszewska, Krupowa, Szubowa, Nowakowa i Zawadzka spotkały się przed południem. Naradzały się jaki obrać kierunek poszukiwań. Najbliżej była Żydomla. Tu, za polskich czasów, znajdował się urząd gminny, posterunek policji, a przy nim tymczasowy areszt. Sowietci obsadzili wszystkie urzędy i posterunki swoimi ludźmi. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, że obuchowcy zaprowadzili osadników do aresztu w Żydomli. Kończąc naradę osadniczki postanowiły powędrować do Żydomli. Przed szosą skidelską musiały się zatrzymać, bo w kierunku Grodna nieustannie przemieszczały się kolumny sowieckiego wojska. Stojąc blisko szo-

sy czekały na stosowny moment, w którym będą mogły przebiec szosę niepostrzeżenie i bezpiecznie. Nagle, z głośnym jazgotem żelastwa, zatrzymało się kilka niewielkich tankietek. Zaterkotał karabin maszynowy. Kobiety machinalnie padły na ziemię. Gdy tak leżały, bez ruchu na kartoflisku, zbliżył się do nich oficer sowiecki z naganem w dłoni.

– Co wy tu robicie blisko szosy? – zapytał.

– Przyszliśmy na pole kopać kartofle – skłamała Jagielska znająca dobrze język rosyjski.

– Kopać kartofle? – zdziwił się tankista. Widząc jednak, że kobiety nie stanowią żadnego zagrożenia dla sowieckiego wojska nie żądał dalszych wyjaśnień. Złagodniał, a nawet pochwalił kobiety.

– Prawilno! Prawilno! Trzeba wykopać kartofle, chociaż dookoła toczy się wojna. Widać, że dobre z was kolchoźnice...

– U nas nie ma kolchozów, a my nie jesteśmy kolchoźnicami – pośpiesznie wyjaśniła Jagielska.

– Zakładać będziemy kolchozy i tu, o to nie ma co się martwić – stwierdził tankista. Odchodząc w stronę szosy zatrzymał się nagle. Uniósł prawą rękę do góry w której wciąż trzymał nagan.

– Widzicie? Tym naganem zastrzeliłem w Skidlu waszego kniazia – wyjaśnił aby kobiety wiedziały z kim mają do czynienia. – Osobiście zabiłem polskiego kniazia! Nie będzie już kniaz pił waszej krwi. Nie będzie...

Kobiety pozostawione przez tanki-
stę w spokoju nie mogły ochłonąć
z wrażenia jakie wywarło na nich
pierwsze zetknięcie z sowieckim wojs-
kiem.

– Tfu! A to dureń! Nazwał nas koł-
choźnikami – oburzały się.

– Kołchozy będzie nam zakładał...
Niedoczekanie twoje, głupi czubaryku.

Przygoda przy szosie tak je zmrozi-
ła, że zrezygnowały z wyprawy do Ży-
domli. Janiszewska, zawsze bojaźliwa,
trzęsąc się ze strachu, radziła aby wr-
cać do Budowli. Pozostałe kobiety ura-
dziły ażeby udać się do Obuchowa i do
kolonii Marianówka, gdzie mieszkał
jeden z przywódców obuchowskiego
komitetu stary Piotr Dziekoński.

Dziekoński dostrzegł przez okno
zbliżające się kobiety. Wyszedł im na
spotkanie przy furtce ogrodzenia.

– Czego tu chcecie? – zapytał świ-
drując kobiety niezawistnym spojrze-
niem. Wyglądał jak byk podrażniony
czerwoną płachtą, gotowy rzucić się do
ataku w każdej chwili. Niechętnie od-
powiadał na pytania. Zmyślanie
kłamstw nie przychodziło mu łatwo, bo
zaczął sapać i powtarzał często: „nu”,
„nu”. Podpowiadał kobietom, że osad-
nicy mogą być w Grodnie, albo w Ski-
dlu. Było pewne, że ten stary podły
człowiek kłamie, chociaż zna prawdę.

Zmęczone, zrozpaczone i przemo-
czone deszczem powracały kobiety
z Marianówki przez Obuchowo. Zoba-
czyły przed domem, przy furtce, starą
Misiewiczową. Zbliżyły się do niej.

– Pani Misiewiczowa! Powiedźcie
nam, gdzie naszych mężów zabrali.
Powiedźcie, przecież wy wiecie...

Misiewiczowa milczała. Ze współ-
czuciem patrzyła po twarzach zmęczo-
nych, przygnębionych kobiet.

– Oj biedne, wy biedne, całe niebo
płacze nad waszą niedolą – powiedziała
nawiązując do siąpiącego deszczu.

– Powiedźcie, gdzie naszych mę-
żów poprowadzili.

– Nasze chłopcy... zjedli ich wszyst-
kich. – Mówią to Misiewiczowa ener-
gicznie skierowała twarz w stronę Ży-
domli, jakby chciała w ten sposób
wskazać właściwy kierunek. Następnie
odwróciła się i szybko zniknęła
w drzwiach chałupy.

Zastanawiały się kobiety co to mo-
gło znaczyć, że „ich zjedli”. Doszły do
wniosku, że Misiewiczowa bała się
powiedzieć prawdy i tak się jakoś jej
rzekło.

Przez kilka następnych dni kobiety
wytrwale kontynuowały poszukiwania.
Z Żydomli odesłano je do Grodna.
W Gronie próbowały dowiedzieć się
czegoś o mężach w siedzibie NKWD,
a później w więzieniu. Wszędzie po-
zbywano się ich twierdząc, że ich mę-
żowie nie figurują w ewidencji zabi-
tych ani uwięzionych. W Skidlu też ni-
czego się nie dowiedziały. Pozbawione
męskiej pomocy nieustannie poszuku-
jąc uprowadzonych mężów, zaniedby-
wały codzienne obowiązki na własnych
gospodarstwach. Tymczasem ludzie
z obuchowskiego komitetu, coraz śmie-
lej panoszyli się, coraz jawniej rabowa-
li mienie osadników.

W Obuchowie zapewne wszyscy
wiedzieli co stało się z osadnikami, ale
strach przed surową karą za udzielanie
informacji Polakom, podtrzymywał
dyscyplinę milczenia. Liczni Białorusi-
ni, nie skażeni sowiecką propagandą

i ideologią nienawiści, nie mogli pogodzić się ze zbrodnicznymi wyczynami garstki obiboków i wichrzycieli. Nie mogli jednak przeciwdziałać złu, byli sterroryzowani i zastraszeni.

W gospodarstwie Zawadzkich od kilkunastu lat pracował zacy Białorusin, stary Januczenia. Jego żona przychodziła zająć się dziećmi, gdy obydwójce Zawadzcy musieli jechać do Grodna, bądź wybierali się na całonocną zabawę w domu ludowym. Obydwie rodziny polubiły się i nabrały do siebie zaufania. Pewnej nocy Januczeniwa zapukała do domu Zawadzkich. Dyskretnie wsunęła się do mieszkania i wielce wystraszona powtórzyła zasłyszane wiadomości o tym, że Obuchowcy zamordowali wszystkich osadników i zakopali ich na polu, blisko Żydomli.

Jagielskiej też przekazano podobne wiadomości mówiąc, że jeden z osadników, prawdopodobnie Szuba, zdołał uciec.

Kobiety znów zmobilizowały się i z nową energią rozpoczęły poszukiwania. Krążyły po polach, przeglądwały zagajniki, rozgrzebywały świeże mogiły, w których najczęściej znajdowały polskich żołnierzy odartych z umundurowania i butów.

Kiedyś zatrzymał je na szosie sowiecki oficer. Zapytane czego szukają powiedziały mu, że obuchowcy podstępnie zamordowali ich mężów i teraz szukają bezskutecznie miejsca, w którym mordercy zakopali swoje ofiary. Wyjątkowo trafiły na kulturalnego człowieka, bo oficer oburzył się bardzo i gotów był jechać do Obuchowa, wyjaśnić sprawę i zmusić obuchowców do pokazania mogiły. Niestety, nadjechała

inna grupa wojska i ten przyzwoity sowieć musiał pojechać dalej do Grodna.

W czwartek 27 września kobiety rozpoczęły poszukiwania od wczesnego rana. Zatrzymały się na krótki odpoczynek przy gruntowej drodze, łączącej szosę skidelską ze stacją kolejową w Żydomli. Usiadły w pobliżu samotnie stojącej stodoły. Towarzysząca Szubowej suczka Aza biegła po sąsiednich polach. Gdy kobiety wstały i zamierzały iść dalej suczka przywarła do stóp swojej pani wyraźnie próbując zatrzymać ją na miejscu. Nerwowość w zachowaniu Azy zauważyła Szubowa, dostrzegły też pozostałe kobiety. Suczka odgadując zainteresowanie ludzi pobiegła w pole i po chwili przyniosła w zębach zakrwawioną maciejówkę. Szubowa rozpoznała czapkę swojego męża. Kobiety natychmiast pobiegły w stronę miejsca gdzie Aza znalazła maciejówkę. Kilkaset metrów od drogi zobaczyły niewielki kopczyk świeżo usypanej ziemi. Padły na kolana i gołymi rękami zaczęły rozkopywać świeżą ziemię. Niebawem spod cienkiej warstwy ziemi ukazały się bosc nogi człowieka, a następnie tułów i głowa.

Szubowa wstała i slaniając się na nogach odeszła na bok. Poczula zamęt w głowie i mocne bicie serca. Gdy nieco ochłonęła zwróciła się do kobiet, które wciąż rozgrzebywały pulchną ziemię.

– Opamiętajcie się kobiety! Opamiętajcie się i przestańcie. Tu są nasi mężowie, musimy im urządzić pogrzeb na cmentarzu. Bez pomocy, same, gołymi rękami, nic tu nie poradzimy.

Kobiety stanęły półkolem i tamując szloch spoglądały na młodą sąsiadkę w oczekiwaniu na dalsze rady.

– Poza tym – mówiła Szubowa – bez zgody urzędu gminnego nie będziemy mogły wykopać ciała i przenieść ich na cmentarz. Wy wracajcie do Budowli i szukajcie się do pogrzebu, a ja pójdę w tej sprawie do sielsowietu.

Naczelnikiem sielsowietu był Żuchniewicz, znany wszystkim w okolicy zagorzały komunista. Gdy Szubowa dowiedziała się od ludzi, że „predsedatiem” jest Żuchniewicz nabrała otuchy, bo знаła go osobiście. Przychodził często do Budowli i wobec osadników był zawsze pokorny i ugrzeczniiony.

Pani Marianna śmiało wkroczyła do izby w której urzędował przedstawiciel nowej władzy. Żuchniewicz miał u siebie dwóch interesantów. Zauważył wejście Szubowej, lecz nie zwrócił na nią uwagi.

– Panie Żuchniewicz, ja do pana przyszedłam.

Żuchniewicz nawet nie spojrzął na kobietę. Gdy interesanci wyszli Szubowa ponownie zwróciła się do Żuchniewicza. Predsedatiel w dalszym ciągu ignorował obecność kobiety, tym razem udając, że czyta jakieś papiery rozłożone na stole. Szubowa zdenerwowała się.

– Panie Żuchniewicz! Przecież do pana mówię, a nie do pieca. Co? Słuch pan stracił? Zamordowaliście męża, a teraz jeszcze pastwicie się nade mną?

Słowa kobiety oburzyły Żuchniewicza.

– Liczcie się ze słowami bo...

– No, co możecie jeszcze zrobić gorszego, co zrobicie? Co?

– Skieruję was do aresztu i tyle zyskacie...

– Zanim zamkniecie mnie w areszcie, to może najpierw zarządzicie pogrzeb osadników na cmentarzu. Bo wasi ludzie z Obuchowa zamordowali ich i zakopali na polu jak padłe zwierzęta.

– Od tego zacznę, że w sielsowiecie nie wiadomo nam oficjalnie o morderstwie osadników. Nie wpłynął do nas żaden meldunek, ani jakiegokolwiek doniesienie oficjalne.

Szubowa spojrzała mu w oczy z pogardą.

– Nic nie wiecie? Jak pan śmie tak kłamać? Mówić do mnie takie bzdury? Jak nie wiedzieliście, to teraz już wiecie, bo ja powiedziałam to oficjalnie! I domagam się, ażeby wasza władza zarządziła pogrzeb osadników na cmentarzu! Ludzi grzebie się na cmentarzu.

– Chcecie pogrzebu na cmentarzu? Sielsowiet nie dołoży do tego ręki, bo ma dużo swoich spraw. Jak znajdziecie sobie sami pomocników, to róbcie pogrzeb na cmentarzu. Tylko pogrzeb musi być dzisiaj. Jutro przyjeżdżają do mnie władze z Grodna i nie chcę mieć tu żadnych pogrzebów. Żadnych zgromadzeń. Jasne wam?

– Dzisiaj nie zdążymy. Nawet trumien zbić nie zdążymy. Mam deski, ale stolarz nie zdąży zrobić tyle trumien.

– O jakich deskach mówicie?

– Całe podwórko mam zawalone deskami.

– To już nie są wasze deski. Nie wolno ich tknąć.

– Jak to nie moje? – zdziwiła się Szubowa – A czyje? Przecież razem z mężem kupowałam deski na stodołę za własne, ciężko zapracowane pieniądze.

– Deski były wasze, ale już nie są wasze. Zostały skonfiskowane i nie wolno ich ruszać. Jasne wam?

– Nie to nie jest jasne, ani uczciwe. To zwykłe złodziejstwo, to barbarzyństwo! Nie dość, że zamordowaliście niewinnych ludzi, to jeszcze zabraniać zrobić dla nich trumny z desek, które sami kupili za swojego życia.

Szubowa nie bała się predsedatiela, wylewała mu prosto w twarz cały swój ból i poczucie krzywdy.

– Trzeba było nas wszystkich wymordować – mówiła – nie mielibyście kłopotów z pogrzebem, ani z trumnami.

– Właśnie po to jest ta wojna, żeby powybijać takich jak wy! Nie spieszcie się, na wszystko przyjdzie czas.

Łzy spłynęły po policzkach kobiety. Zacisnęła zęby, spięła się cała, aby nie wybuchnąć płaczem w obecności Zchniewicza.

– Jesteście podłymi barbarzyńcami! Zwykłymi kryminalistami...

– Jeszcze jedno takie słowo i zginięsz babo w areście!

Szubowa trzasnęła drzwiami i wyszła z sielsowietu na ulicę. Świeże chłodne powietrze złagodziło napięcie nerwowe i przyniosło jej ulgę. Stojąc w miejscu zastanawiała się przez chwilę co dalej robić i gdzie pójść. Powolnym krokiem udała się w kierunku domu Piołunowiczów, którzy mieszkali naprzeciw kościoła.

Pan Piołunowicz, uczestnik wojny 1920 roku, mieszkał przez kilka lat w Budowli, gdzie prowadził mały sklepik i dzierżawił gospodarstwo osadnika Władysława Hipsza. Z czasem doszedł do przekonania, że należy zreformować swoje zajęcia. Odstąpił dzierżawę Nejmanowi, sprzedał własne 5 hekta-

rów i wykupił od Żyda sklep w Żydomli.

Piołunowicz był człowiekiem przedsiębiorczym, operatywnym i życzliwym. Wśród osadników, z którymi utrzymywał nieustannie kontakty, cieszył się powszechną sympatią. Gdy Szuba owdowiał i ożenił się z dwiętnastoletnią Marianną, siostrą tragicznie zmarłej żony, wszyscy w okolicy podziwiali urok, wdzięk i kulturę osobistą młodej osadniczki. Piołunowicz najwyraźniej chyba, spośród wszystkich, okazywał jej szacunek i adorację.

Piołunowiczowa widząc, że pani Marianna ślania się na nogach wybiegła jej na spotkanie. Usadziła delikatnie na skraju łóżka i podała szklankę wody. Piołunowicz uważnie wysłuchał relacji Szubowej.

– Uspokój się Maniu i odpocznij u nas w domu – przemówił – Ja postaram się zorganizować ten pogrzeb. Jak przyjdzie czas pochówku żona przeprowadzi cię na cmentarz.

Pogrzeb osadników

Władysław Krupa, syn zamordowanego osadnika Piotra Krupy, zamieszkały obecnie w Kanadzie, zapamiętał dobrze i opisał przebieg pogrzebu.

„... w czwartek 28 września przyszła do nas Stacha Nowakowa i powiedziała, że wszyscy osadnicy zostali zamordowani, a ona wie gdzie ich zakopano. Zaproponowała, żebyśmy udali się razem z nią, bo inne rodziny są już powiadomione i też tam się wybierają. Organizowany będzie pogrzeb na cmentarzu. Razem z bratem Jankiem zaprzęgliśmy konie do wozu i natych-

miast, z naszą mamą i Nowakową, pojechaliśmy w stronę Żydomli.

Za skidelską szosą, na polaci ugoru, stała samotna stodoła. Kilkaset metrów od stodoły rozciągała się wzdłuż szosy spłaszczona przyzma ziemi, porośnięta mizerną trawą. Do przyzmy przylegało uprawne pole, chyba było to kartofli-sko. Trawa na przyzmie była mocno wydeptana i pokryta plamami krwi. W pobliżu jednej takiej plamy leżał

miął dwóch silnych białoruskich chłopaków. Zaczęli ostrożnie rozkopywać ziemię. Pierwszego wynieśli na trawę naszego ojca. Gdy go zobaczyłem stało się ze mną coś niezwykłego, wirowało mi w głowie, ziemia usuwała się spod nóg, myślałem, że zbliża się koniec świata. Lament mamy i widok ojca był nie do zniesienia. Mama klęczała i wycierała ojcu twarz. Górną część czaszki ojciec miał odtupaną, a skóra z niej



Marianna Szubowa przy zbiorowej mogile osadników z Budowli. Rok 1992

ludzki mózg. Mama zatrzymała się, uklękła i zaczęła delikatnie zbierać mózg z trawy do chusteczki. Z przerażeniem patrzyłem na mamę, a mama powiedziała, że być może jest to mózg naszego ojca.

Przybyły wszystkie rodziny zamordowanych osadników i sporo ludzi postronnych. Całością prac kierował Jan Piólułowicz z Żydomli. Do pomocy

zwisła na czoło. Mama delikatnie naciągnęła skórę z powrotem na jamę po czaszce i wytarła czoło. Powoli wycierała twarz. Ojciec był bez butów.

Wyciągnięto następane ciała. Drugim prawdopodobnie był Edward Nowak. On też miał czaszkę rozłupaną. W pewnym momencie krzyk i lament stał się okropny, trudny do zniesienia.

Wtedy Piołunowicz zawołał drżącym głosem:

– Uspokójcie się! Uspokójcie się, bo nie możemy pracować w takim wrzasku! Zabierzcie stąd dzieci!

Razem z innymi dziećmi poszedłem na szosę do wozu, gdzie siedziała siostra, uspakajająca małego Stefusia. Szosa i łąka zastawione były wozami. Obok nas stał wóz Jagielskich.

Gdy po pewnym czasie udałem się znów na łąkę, by zobaczyć co robi mama, na trawie leżały już ciała innych osadników. Byli tak zmasakrowani, że nie mogłem ich rozpoznać, chociaż wszystkich znałem dobrze.

Od strony kartofliska podjeżdżały kolejno wozy na które układano ciała osadników. Wkrótce, polnymi drogami, wyruszyliśmy w stronę Żydomli.

Na skraju cmentarza był już wykopany dół, którego dno wyścielono prostą słomą. Słomę przykryto prześcieradłami, a na prześcieradłach ułożono ciała osadników. Ojciec leżał trzeci od lewej strony cmentarza. Staralem się rozpoznać sąsiadów, ale i teraz nie było to łatwe mimo, że byli już oczyszczeni i wyglądali lepiej.

Na cmentarzu zgromadziło się dużo ludzi, rodziny osadników i sporo nieznanymi mi okolicznymi mieszkańcami. Księdza nie było przy pogrzebie, bo proboszcz Żydomli wyjechał w końcu lipca i do tej pory nie wrócił.

Zebrani przykryli ciała prześcieradłami, pomodlili się i zaczęli garściami rzucać ziemię do zbiorowej mogiły...”

Piołunowiczowa przyprowadziła Szubową na cmentarz, na czas pogrzebu. Pani Marianna, wzmocniona nieco odpoczynkiem w domu Piołunowiczów, była spokojna i wyciszona.

Dzieci, które przybyły ze Stasią Nowakową na cmentarz, przerażone sceną pogrzebu, tuliły się do niej z ufnością. Przytuliła do siebie główki dzieci dodając im odwagi i otuchy, chociaż sama jej bardzo potrzebowała. Przeżywała gorzyc nieszczęścia, głęboką rozterkę, obawiała się czy starczy jej sił, aby walczyć z przeciwnościami losu, aby uchronić dzieci przed okrucieństwem złych ludzi, pozbawionych podstawowych wartości moralnych. Łzy spływały jej po policzkach.

Sowiecki przykład sprawiedliwości

Wiadomości o odnalezieniu osadników z Budowli, zamordowanych bestialsko i zakopanych na polu, szybko dotarły do okolicznych zaścianków szlacheckich i wiosek białoruskich. Przekazywano sobie informacje jak wyglądały ciała ofiar, dyskutowano o cierpieniach jakie musieli przeżywać przed śmiercią torturowani osadnicy. Najbardziej wiarygodne były relacje obydwu pomocników Piołunowicza. Opowiadali, że na dnie dołu leżał Zawadzki związany drutem z Szubą, że obydwaj mieli języki na wierzchu, a usta pełne ziemi pomieszczonej z krwią. Natomiast Bronisławowi Przerazińskiemu z rozprutego brzucha jelita wylały się na kolana itp. Niejeden człowiek, zwracając się w stronę Obuchowa, wygrażał pięścią i przepowiadał, że tych zbrodniarzy dosięgnie jeszcze kara boska.

Obuchowcy czuli się wciąż silni i bezkarni. Żaden z nich nawet nie pomyślał, że cierpienie zadane innym ludziom mogą do nich powrócić, odbite rykoszetem, niesione powracającą falą mogą ich też porazić boleśnie. Żyli

czasem bieżącym, który bardzo im sprzyjał. Uznali chyba, że za dużo jest gadania i opowieści o morderstwie osadników, bo pewnego dnia obydwu białoruskich pomocników Piołunowicza znaleziono zastrzelonych w pobliskim lesie.



W sierpniu bieżącego roku odwiedziłem 94 letnią Panią Jagielską zamieszkałą w Kętrzynie

Wydarzenie to stało się dla Jna Piołunowicza poważnym ostrzeżeniem. Po naradzie z żoną pan Jan postanowił ukrywać się do czasu, aż stanie się pewne, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Urządził sobie kryjówkę i przestał pokazywać się sąsiadom.

Po dwóch dniach przyszedł do Piołunowicza uzbrojony mężczyzna. Przedstawił się jako funkcjonariusz NKWD i zapytał o Jana Piołunowicza. Mówił dobrze po polsku.

– Pojechał wczoraj do Grodna – skłamała Piołunowiczowa i do tej pory nie wrócił. Martwię się czy nie przytrafiło mu się coś złego.

Enkawudzista usiadł na krześle, może przez godzinę czekał cierpliwie, wypytując przy sposobności o różne rzeczy. Kiedy już znudziło mu się czekanie nakazał aby nazajutrz Jan Piołunowicz zameldował się w siedzibie NKWD celem złożenia zeznania o zamordowaniu ludzi z Budowli.

– Ale mąż ich nie mordował, tylko pomagał przy pogrzebie na cmentarzu. Co on może wyjaśnić?

– No, oto chodzi, żeby złożył wyjaśnienia i wtedy powie co robił, a czego nie robił.

Wieczorem Piołunowicz opuścił kryjówkę. Do późnej nocy naradzał się z żoną nad zaistniałą sytuacją. Kobieta nie była zdecydowana jak postąpić. Piołunowicz jako uczestnik wojny 1920 roku stykał się już z bolszewikami i znał ich przewrotność. Uważał, że najlepiej jest trzymać się od nich z daleka toteż postanowił ukrywać się w dalszym ciągu.

Minęło kilka dni w spokoju, ale NKWD nie zapomniało o Piołunowiczu. Tym razem przyszło po niego dwóch funkcjonariuszy. Temu, mówiącemu po polsku, towarzyszył inny, mało mówny i ponury, pewnie napływowy ze wschodu.

– A to dlaczego mąż nie stawiał się jak było nakazane? Szutki sobie z nas robi?

Kobieta starała się przekonać przyszłych, że od tamtej pory męża nie ma w domu i sama nie wie co się stało. Może został gdzieś zatrzymany, albo wydarzyło się coś gorszego.

Enkawudzisci zignorowali tłumaczenie kobiety.

– Znaczą się tak zrobimy, syna zabierzemy z sobą, a jak Piołunowicz stawi się u nas to zwolnimy syna.

Piołunowiczowa struchlała, ugięła się pod nią nogi. Podczas rozmów z mężem w ogóle nie brali pod uwagę takiego rozwoju sytuacji. Wacek, najstarszy syn Piołunowiczów spojrzął na matkę wystraszony.

– Zostawcie mi syna w spokoju, to przecież dzieciak jeszcze, on nie brał udziału w pogrzebie osadników.

– Ot jak nie pójdzie syn, to chazająkę zabierzemy, ale lepiej żeby w domu została, bo ma jeszcze inne małe dzieci.

– Pójdę z wami! Pójdę z wami i zapytam waszego przełożonego, czego od nas chcecie. Jesteśmy spokojnymi ludźmi i nic złego nie zrobiliśmy. Nic bój się!

Piołunowiczowa zakryła twarz rękami i zaczęła spazmatycznie płakać.

Wacek podbiegł do matki i objął ją ramionami.

– Mamo nie płacz! Mamo nie płacz... – prosił – pójdę z nimi i na pewno zaraz wrócę. Ani ojciec, ani ja nie mamy nic złego na sumieniu. Nie bój się o mnie...

Jeden z enkawudzistów trącił Wacka w bok.

– Nu, sobirajsa!

Wacek pocałował matkę i szybko wyszedł z mieszkania. Za nim podążyli dwaj enkawudziści.

Nocą w domu Piołunowiczów zciższone rozmowy trwały prawie do rana.

– Nie mogę syna zostawić w rękach tych barbarzyńców na pastwę losu – mówił Piołunowicz – muszę stawić się u nich na komendzie. Po prostu nie ma innego wyjścia z tej sytuacji...

Żona była przeciwna. Radziła aby poczekać jeszcze kilka dni.

– Wiem dobrze, że bolszewikom nie można ufać – mówił Piołunowicz – są przewrotni i fałszywi, ale jaki ja mam wybór? Nie poświęcę przecież syna, żeby ratować swoją skórę... Czy wiadomo do czego są jeszcze zdolni? Jedyny dla nas ratunek, to zostawić wszystko i jeszcze tej nocy uciec stąd jak najdalej. Ale nie zrobimy tego, nie zostawimy syna na pastwę sowietów. Gdyby spotkało go jakieś nieszczęście miałbym złamane życie. Muszę tam pójść...

– A jak obydwu was utracę?

– Tego nie biorę w ogóle pod uwagę – stwierdził stanowczo Piołunowicz, chyba tylko dlatego aby uspokoić nieco żonę. W gruncie rzeczy miał złe przeżycie.

Rano zasiedli wszyscy do śniadania. Nie prowadzili rozmów, byli spokojni i wyciszeni. Po śniadaniu Piołunowicz powoli ubrał się, ucałował żonę i dzieci po czym skierował się do drzwi. Tylko przy progu zatrzymał się na chwilę, popatrzył na rodzinę, na sprzęty domowe i bez słowa znikł za drzwiami.

W tym dniu czas Piołunowiczowej płynął bardzo wolno. Z niecierpliwością oczekiwała popołudnia, a następnie wieczoru. Coraz częściej spoglądała w okno z nadzieją, że ujrzy syna i męża. Niestety, zapadł ciemny wieczór, nadeszła noc i ani syn, ani mąż nie wrócili do domu. W nocy kobieta długo nie mogła usnąć, chociaż noc poprzednia też nie była przespana. Nasłuchiwała czy nie zaskrzypli furka, czy ktoś nie zapuka do drzwi.

Nadchodzący dzień nie przyniósł nic nowego. Dzień następny, wypeł-

niony udęką wyczekiwania też minął bez żadnej pociechy. Nie było sensu dłużej czekać beczynnie. Kobieta postanowiła walczyć o odzyskanie męża i syna. Rozpoczęła poszukiwania docierając do siedziby NKWD, a następnie do administracji więzienia. Domagała się zwolnienia nieletniego syna, widzenia z mężem, płakała, rozpacziała. Wszędzie odprawiano ją odmownie. Obydwaj, syn i mąż przepadli bez wieści.

W tamtym czasie każdego dnia kierowano do więzienia w Grodnie dziesiątki wylapywanych tu i ówdzie

uczestników obrony Grodna, ukrywających się oficerów oraz innych patriotów polskich. Trzeba było przyspieszać procedurę śledczą, aby zwiększyć przepustowość więzienia. Codziennie nad ranem z bramy więziennej wyjeżdżała ciężarówka z plandeką, wyładowana martwymi ciałami więźniów. Wywożone zwłoki zakopywano w podmiejskim lasku Sekret. W ten sposób osiągnięto równowagę między ilością przybywających więźniów, a ilością wywożonych ciężarówką.

Cdn.